

WOJCIECH KULAWSKI

Syryjska legenda

Prolog

Tim Mayer spojrział na prędkościomierz, który wskazywał sporo ponad sto kilometrów na godzinę. Jazda z taką prędkością po pustynnych bezdrożach była ryzykownym pomysłem, stawka jednak była ogromna. Amortyzatory wysłużonego jeepa trzeszczały przy każdym dołkowym zawrocie umierającego. Spod kół wyrzucane były tumany piasku, tworzące za pojazdem długi ogon. Kierowca nic sobie z tego nie robił. Wecisnął pedał gazu i skupił się na drodze.

Na miejscu pasażera siedział Noah Paccard. Trzymał się górnej rączki, próbując nie wypaść z fotela, kiedy samochód pokonywał kolejne wertepy. Kilka razy chciał już powiedzieć, aby Mayer zwolnił, wiedział jednak, że to nic nie da. Przynajmniej do momentu, kiedy nie upewni się, że Sara i jej ekipa są bezpieczni.

Tim skręcił gwałtownie kierownicą, chcąc ominąć wielki głaz. Instynkt rajdowcy po raz kolejny nie zawiódł. Do celu pozostawało niecałe dwadzieścia kilometrów. Choć pustynne słońce dawało się we znaki, szyby samochodu były szczelnie zamknięte. Klimatyzacja nie działała, dlatego we wnętrzu pojazdu panowały iście piekielne warunki. Uczucie niepokoju trzymało żołądek w żelaznym imadle. Dolegliwości spowodowane nadmiernym stresem nie odstępowały Tima od momentu, kiedy wraz z Sarą cudem uniknęli śmierci. Bomba, która rozsadziła pół kamienicy, o mały włos nie wysłała ich na tamten świat. Mężczyzna zdawał sobie sprawę, że emocje biorące górę nad zdrowym rozsądkiem, są w obecnej sytuacji bardzo złym doradcą.

Tim przetarł szyby wycieraczkami i ujrzał w oddali dwa terenowe samochody do połowy kół przysypane piaskiem.

Rozdział 1

Profesor Bertrand Cologne przeglądał materiały dotyczące projektu Magnetron. Raz po raz analizował dokumentację techniczną, zastanawiając się, czy nie pominął jakiegoś ważnego szczegółu. Do piątku pozostało przecież tylko trzy dni. Co jeśli coś zawiedzie? Naukowiec o ekscentrycznym wyglądzie zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Błyszcząca łysina kontrastowała z długą siwą brodą i sumiastymi wąsami. Niewielki wzrost i krzywe nogi, niczym u Johna Waynea, były znakiem rozpoznawczym Bertranda.

Nagle uwagę profesora odwrócił dzwoniący telefon. Podniósł słuchawkę i zapytał:

– Słucham?

Osoba z drugiej strony milczała, głośno oddychając. Dopiero po chwili rozległ się niski baryton:

– Słuchaj, profesorku. – Było w tym głosie coś dziwnego, jakaś nerwowość, która sprawiła, że Bertrand poczuł mrowienie na stopach.

– Kto mówi? – zapytał.

– Jeśli do jutra, do południa, nie przekażesz nam pięciu milionów euro twoja córka Laura zginie.

Profesor poczuł, jak na jego głowie łąduje dwutonowy młot. Rozejrzał się po niewielkim gabinecie, w którym oprócz masywnego biurka z obrotowym fotelem stały dwa krzesła i wieszak na płaszcze. Pomieszczenie ulokowane było pod ziemią, toteż nie miało żadnych okien. Bertrand milczał, wsłuchując się w szum klimatyzatora. Europejska Organizacja Badań Jądrowych niedaleko Genewy zatrudniała rzesze naukowców. Cologne pracował tu od siedemnastu lat i zajmował się praktycznym wykorzystaniem wiedzy zdobywanej podczas eksperymentów przeprowadzanych w Wielkim Zderzaczu Hadronów. Ta praca była spełnieniem jego marzeń i dziecięcych ambicji. Poprzez tajemnice ukryte w cząstkach elementarnych przemawiał jakby sam Bóg.. Ta część fizyki miała wspaniałą przyszłość. Bertrand zdawał sobie sprawę, że dzięki pracy jego i tysięcy naukowców w instytucie ludzkość będzie mogła wykonać kolejny mały krok w rozwoju cywilizacyjnym. Z tego też powodu niemal całkowicie zrezygnował z życia prywatnego. Dorosła córka, jedynaczka, radziła sobie całkiem dobrze. Po śmierci żony, osiemnaście lat temu, profesor mógł przejść na zasłużoną emeryturę. Praca była dla niego wszystkim, dlatego nawet nie rozważał ewentualności odejścia na zasłużony odpoczynek. Nie po to – przez niemal

siedemdziesiąt lat – zdobywał wiedzę i doświadczenie, aby nie wykorzystać ich dla rozwoju ludzkości. Zawsze rano biegał przez godzinę na bieżni, zdrowo się odżywił, nie pił, nie palił, nie słodził i nie solił, mając tym samym nadzieję na przedłużenie życia.

– Obok kortów tenisowych Tennis Club de Genève Eaux-Vives jest hotel du Parc des Eaux-Vives – tłumaczył porywacz. – Na prawo od wejścia, pod niewielkim zadaszeniem, jest kontener na śmieci. Jutro, o godzinie dwunastej, wrzucisz tam torbę z pieniędzmi. I pamiętaj, jeśli zawiadomisz policję, twoja córka zginie.

Cologne chciał powiedzieć coś jeszcze, jednak porywacz zakończył rozmowę. Numer był nieznany. Profesor oddzwonił, jednak bez efektu. Wstał z fotela i chodził nerwowo po gabinecie, drapiąc się po długiej siwej brodzie. Przez chwilę przeszło mu przez myśl, aby zadzwonić na policję, byłoby to jednak zbyt ryzykowne. Co jeśli porywacz nie żartował? Bertrand przystanął przed mapą świata, zawieszoną na ścianie i patrzył, jakby chciał z niej wyczytać rozwiązanie problemu.

– Skąd u licha mam wziąć pięć milionów euro? – parsknął. – I to do jutra.

Oszczędności miał niewiele, pożyczyć też nie za bardzo było od kogo. Sytuacja zdawała się beznadziejna. A może mężczyzna blefował i wcale nie porwał Laury?

Bertrand wybrał numer telefonu do córki i odczekał chwilę. Jak tylko włączyła się elektroniczna sekretarka, nagrał wiadomość, a potem wybiegł z biura do samochodu, stojącego na parkingu przed ośrodkiem. Wyjechał na ulicę Route de Meyrin, a następnie ruszył w stronę Route de Chancy, gdzie mieszkała córka. Wszedł na pierwsze piętro kamienicy i otworzył drzwi do jej mieszkania. Laura Cologne pracowała w genewskiej szkole jako nauczycielka matematyki. Profesor Bertrand nadal opiekował się córką, choć była już dorosłą kobietą. Jego nadgorliwość była chorobliwa. Zażądał od córki kluczy do mieszkania, aby móc ją odwiedzić, gdyby przyszła mu nagle ochota.

Laura mimo dwudziestu dziewięciu lat nadal była singielką. Choć od pewnego czasu kręcił się obok niej niejaki Mark Radke. Był od niej sporo starszy, jednak Bertrand darzył go sympatią i chętnie widziałby go jako zięcia. Córka utrzymywała ten związek w tajemnicy i prosiła ojca, aby nikomu o Marku nie mówił. Radke chciał zachować anonimowość.

Cologne wszedł do mieszkania i rozejrzał się z nadzieją, że zastanie córkę śpiącą albo biorącą kąpiel. Niestety, nikogo nie było. Profesor nie odnalazł również żadnej kartki, listu czy wiadomości przyklejonej do lodówki. Usiadł na kanapie w salonie, schował twarz w dłoniach i

zaczął szlochać. Nie miał zielonego pojęcia, co mógłby zrobić. Przez głowę przebiegły mu wydarzenia z całego życia, które sprawiły, że znalazł się w obecnej sytuacji. Do jasnej cholery, nie z takich opresji wychodził przecież obronną ręką. Czy teraz miałby się ugiąć w obliczu szantażysty-porywacza? Stanął na równe nogi i zganiał się w myślach, że emocje zaburzyły mu trzeźwe myślenie.

Rozdział 2

Tim Mayer siedział w głębokim dole i przerzucał szpachelką kolejne warstwy ziemi. Obok niego pracowało jeszcze dwóch archeologów. Obszar wykopalisk umiejscowiony w sadzie sprawił, że trzeba było wyciąć kilkanaście drzewek jabłoni. Właściciel początkowo nie chciał się na to zgodzić, przekonała go dopiero spora kwota we frankach.

Mayer co chwilę natrafiał na niewielki okrągły przedmiot. Oczyszczał go wówczas delikatnie z ziemi i wkładał do pudełka. Potem wracał do kopania. Stanowisko oznaczone było taśmą, aby nikt nie miał wątpliwości, że w tym miejscu prowadzone są prace wykopaliskowe.

Alejką wzdłuż drzew szła drobna kobieta, ubrana w jeansy, żółtą koszulkę i buty kowbojskie. Na głowie miała bawełniany kapelusz. Krótkie ciemne włosy i piegi na małym nosie sprawiały wrażenie, jakby była jeszcze uczennicą, a nie pracownicą muzeum. Tim uwielbiał jej zawadiacki charakter i niecodzienny styl. Choć zajęty był pracą, kątem oka uważnie obserwował, jak Sara idzie w jego stronę, kręcąc ponętne biodrami.

Żałował, że kobieta jest zajęta. Nie to, żeby źle życzył jej małżeństwu, ale postanowił być czujny, w razie gdyby kiedyś pojawiła się szansa.

Okolice miejscowości Ueken w Szwajcarii, w kantonie Argowia, znane były przede wszystkim ze złóż soli kamiennej, jednak było tu też sporo sadów i upraw zbóż. W jednym z takich właśnie sadów właściciel odnalazł skarb. Zgłosił to władzom kantonu, które natychmiast rozpoczęły prace wykopaliskowe.

– Ile wydobyłeś? – zapytała Sara Frei.

– Na razie trzysta – odpowiedział Mayer, ale mam wrażenie, że jest tego więcej.

– Wszystkie rzymskie? – zapytała kobieta.

– Tak, ktoś musiał je chować tu przez kilka lat. Pewnie jakiś kupiec umieszczał je partiami w skórzanych sakwach, a potem zakopywał.

– Trzeci wiek? – Kobieta przykucnęła i spojrzała w dół, gdzie Tim pracował wraz z dwójką kolegów. Wszędzie dookoła, rzędami co trzy metry, rozciągały się drzewka jabłoni.

– Tak. Brąz z domieszką srebra. To okres od cesarza Aureliana do Maksymiana. Najmłodsze są z dwieście dziewięćdziesiątego czwartego roku.

– Tysiąc siedemset lat w ziemi i taki idealny stan. – Zatarła ręce Sara. – Wiadomo, gdzie będą wyeksponowane?

– Po renowacji trafią pewnie do muzeum w Brugg.

Nieoczekiwanie Sara poczuła, że w kieszeni dzwoni jej telefon komórkowy. Wybrzmiało „*Duele el Corazon*” Enrique Iglesiasa. Frei spojrzała na wyświetlacz i zdziwiła się, widząc nieznany numer. Słuchała przez chwilę z przejęciem, potakując bezwiednie. Wreszcie po skończonej rozmowie zmarszczyła czoło i spojrzała na kolegę wzrokiem zbitego psa.

– Mamy się stawić w departamencie spraw wewnętrznych – rzuciła Frei.

– Nigdzie nie idę – stwierdził Mayer. – Czekałem na takie odkrycie całe życie. Teraz, kiedy wreszcie znalazłem mój skarb, nie zamierzam oddać go w ręce innego archeologa.

– Spotkanie mamy za trzy godziny. Licząc te sto kilometrów do Berna, musimy się raczej spieszyć.

– Kurwa – parsknął Tim. – Czy to ma związek z wykopanymi monetami?

– Nie powiedzieli dokładnie, o co chodzi – powiedziała Sara, pomagając Timowi wyjść z dołka.

Dwójka przyjaciół odświeżyła się nieco i ruszyła samochodem do siedziby szwajcarskiego rządu w Bernie.

– Byłeś ostatnio na jakimś offroadzie? – zapytała Sara, bawiąc się podczas jazdy telefonem komórkowym.

– Przygotowywałem się do rajdu przez przełęcz Saint Gotthard, ale te monety mi przeszkodziły.

– I co, nie wystartujesz w tych zawodach?

– Nie wiem, trochę mi szkoda tygodni przygotowań. Zobaczymy, jak skończy się sprawa z tymi monetami – powiedział Mayer, po czym wcisnął mocniej gaz, aby wyprzedzić jadący przed nimi pojazd. Choć dla normalnego człowieka jazda Tima wydawałaby się nazbyt ostra, Frei nie obawiała się, wiedząc, że kolega jest doskonałym kierowcą.

– A jak twoje strzeleckie sukcesy? – zapytał Tim.

– U mnie też krucho z czasem, ale raz w tygodniu staram się odwiedzić strzelnicę. Ostatnio zdobyłam życiowy rekord. Trafiłam w tarczę o średnicy dwudziestu pięciu centymetrów z siedemdziesięciu metrów.

Tim wydał z siebie pomruk aprobaty.

– Nigdy bym nie pomyślał, że taka drobna kobietka jest w stanie naciągnąć łuk z taką siłą – stwierdził.

Ledwie skończyli rozmowę, a na horyzoncie pojawiły się przedmieścia Berna. Zaparkowali samochód przed rządowym gmachem, zaopatrzyli się w przepustki i ruszyli korytarzem Curia Confoederationis Helveticae pod czujnym okiem ochrony. Zastanawiali się, jaki ważny powód sprawił, że zostali wezwani do rządowego budynku. Może chodziło o rzymskie monety?

Tim Mayer był typem intelektualisty, miał rozmierzwione siwe włosy i rozległe zakola, które zupełnie mężczyźnie nie przeszkadzały, ponieważ nigdy specjalnie nie dbał o wygląd zewnętrzny. Jako kawaler, który całe swoje życie poświęcił reliktom przeszłości, pogodził się z losem, że sam kiedyś zamieni się w stary przedmiot. A może już był antykiem? Mieszkał wraz z siedemdziesięcioletnią matką w Bazylei, tuż przy granicy francusko-niemieckiej. Szpiczasty nos i patykowate kończyny upodabniały go nieco do pająka. Zresztą taką właśnie ksywkę miał wśród pracowników muzeum sztuki, gdzie był zatrudniony.

Sara spojrzała na kolegę, a potem na dwójkę mundurowych, prowadzących ich poprzez ministerialne korytarze, pełne przepychu i bogactwa.

Była wieczną optymistką, trzydziestodwuletnia mężatka, bezdzietna. Miłośniczka latynoskiej muzyki. Krótkowłosa brunetka o pucułowatej twarzy i niewielkim wzroście zawsze żalowała, że nie urodziła się w Brazylii, albo przynajmniej w Hiszpanii. Traktowała Tima niczym dobrego ducha, opiekuna do którego zawsze można było się zwrócić w potrzebie. Kobięca intuicja podpowiadała jej, że mężczyzna chciałby od niej nieco więcej niż tylko przyjaźni.

Drzwi ministerstwa otworzyły się i dwójka archeologów stanęła przed obliczem szarej eminencji w czarnym garniturze. Mężczyzna był szczupły i wysoki, włosy uformowane za pomocą żelu odbijały refleksy słonecznego światła. Nie był to członek Rady Federalnej, ponieważ Sara skojarzyłaby go z nagłówków gazet czy telewizyjnych newsów.

– Dzień Dobry. Siadajcie – powiedział mężczyzna, wskazując ręką na skórzaną kanapę stojącą przy ścianie. – Pełnię funkcję Pełnomocnika Rady Federalnej do spraw Dziedzictwa Kulturowego. – Nazywam się Luca Gibach.

Sara i Tim usiedli, rozglądając się po ogromnym ministerialnym gabinecie. W pewnym momencie do pomieszczenia weszła sekretarka, piękna długonoga blondynka, niosąca na tacy kawę w filiżankach. Położyła ją na stoliku obok kanapy, skinęła głową i wyszła.

– Prawdę mówiąc, mógł nas pan wezwać nieco później. Nie skończyliśmy jeszcze prac wykopaliskowych – zaczął Tim. – Niewiele jeszcze wiemy.

– Tych monet może tam być nawet piętnaście kilogramów – dodała Sara. – To będzie największy sukces szwajcarskiej archeologii.

– Jeśli mam być szczerzy, nie sprowadziłem tu państwa ze względu na odkrycie w Ueken, choć muszę przyznać, że to faktycznie wielkie osiągnięcie – zaczął Luca.

– Nie? – zdziwił się Mayer.

– Wezwałem was tutaj w zupełnie innej sprawie.

Zmęczony Tim wypił filiżankę kawy jednym duszkiem, licząc, że szybki shot postawi go na nogi.

Luca Gibach sięgnął do szuflady i wyciągnął szarą teczkę, po czym wręczył ją Mayerowi. Archeolog otworzył ją na pierwszej stronie i wczytał się w materiał. Były to kserokopie starych, pożółkłych kartek zapisanych odręcznym pismem w jakimś dziwnym języku, przypominającym niemiecki. Tim przeglądał poszczególne stronicę, oglądając rysunki i próbując czytać tekst. Po dziesiątej spojrzał najpierw na Sarę, potem na Gibacha.

– Co to jest? – zapytał zdziwiony.

– Po to właśnie tu państwa sprowadziliśmy – powiedział Luca.

Sara złapała za kartki i przeglądała je przez chwilę. W odręcznych rysunkach zarysów linii brzegowych kobieta rozpoznała Bliski Wschód, a w szczególności południową Turcję, Liban, Irak, Jordanię i Syrię. Większość stronic była spisem słynnych dzieł malarstwa światowego. Kilka kartek stanowiło coś w rodzaju drogowskazu, jak dotrzeć do punktu docelowego. Były tam rysunki budowli oraz opisy miejsc, choć tego Frei nie mogła być pewna, z powodu niezrozumiałej treści zapisanej w dziwnym narzeczu języka niemieckiego.

– Wszystkie te dzieła – zauważył Tim – uchodzą za zaginione.

– Właśnie – odpowiedział Gibach, klaszcząc w dłonie.

– Skąd macie te kartki? – zapytała Frei.

– Jakiś czas temu zgłosił się do nas mężczyzna. Ponoć dostał je od kolegi z Argentyny. Ten kolega znowu miał dziadka Niemca, który przekazał mu je na łożu śmierci.

– Były hitlerowiec? – zapytał Tim.

– Tak sądzimy – tłumaczył Luca. – Tuż po wojnie ukrył się niedaleko Buenos Aires. Tam założył rodzinę i żył spokojnie, utrzymując się z prowadzenia niewielkiego sklepu spożywczego.

– Wierzycie w to? – zapytała Sara. – Wiele osób szukało dzieł sztuki zagrabionych przez Trzecią Rzeszę innym państwom. Ale czas tego typu znalezisk skończył się na początku lat

pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Odnaleziono wszystko. Chyba nie wierzycie, że gdzieś tam leżą ukryte dzieła sztuki zrabowane przez nazistów.

– Też uznałbym tę informację za mało wiarygodną, gdyby nie dwa ważne argumenty – zaczął Luca. – Żadne z dzieł spisanych na kartach faktycznie nie zostało odnalezione. Materiały wskazują na Bliski Wschód, gdzie hitlerowcy mieli swoje eldorado. Po wojnie mogli się tam spokojnie ukrywać, ponieważ władze tych państw nie wydawały ich aliantom ani Związkowi Radzieckiemu.

– A ten mężczyzna, który się do was zgłosił, ma oryginały tych kart? – zapytał Tim.

– Podobno dostał kserokopie, ale nie wie, gdzie znajdują się oryginały – tłumaczył Gibach.

– Ciekawe – stwierdził Tim, zagryzając wargę. – A jaki jest drugi argument?

– Ten mężczyzna, który przyniósł nam kartki, chciałby, abyśmy zorganizowali rządową ekspedycję w poszukiwaniu dzieł sztuki. Co ciekawe, sam zgłosił się jako jeden z uczestników wyprawy – tłumaczył Luca.

– Czyżby liczył na nagrodę? – zapytała Frei.

– Być może. Choć największy problem widzę w tym, że kraje wskazane na kartach, nie zgodzą się na prace archeologiczne na ich terenie. Nie mówiąc już o wywiezieniu dzieł sztuki z Iraku czy Syrii. Ten mężczyzna chce z nami jechać, bo zdaje sobie sprawę, że rządowa wyprawa to jedyny sposób na zdobycie tych dzieł sztuki. Musi zatem wierzyć, że tam naprawdę coś jest – tłumaczył Luca.

– A co postanowiła Rada Federalna? – zapytał Tim.

– Nie podjęli jeszcze decyzji. Przede wszystkim chcielibyśmy, abyście zbadali te materiały. Potem zastanowimy się, czy to całe zamieszanie warte jest zachodu.

– Czy możemy się spotkać z tym mężczyzną, który dostarczył stronicę? Kim on jest? – zapytał Tim.

– Jeśli zajdzie taka konieczność, to jak najbardziej. Na razie jednak chciałbym, aby przez kilka dni zbadali państwo te materiały i powiedzieli nam, co o nich sądzą. I oczywiście musimy podpisać stosowne umowy o tajności całego przedsięwzięcia.

Sara i Tim skinęli głowami.

– Czyli mam rozumieć – ucieszył się Luca – że od zaraz rzucą się państwo w wir pracy?

Sara spojrzała na Tima i widząc błysk w jego oku, odpowiedziała:

– Mamy zacząć tu, w Bernie? – zapytała Sara.

– Potraktujcie to jako delegację służbową – powiedział Luca, dopijając kawę. – Niczego wam nie zabraknie.